

## Kacper Płusa – *Ze skraju i ze światła*



stron 52, miękka oprawa

redakcja: Piotr Grobliński

opracowanie graficzne i skład: Paulina Narolewska-Taborowska

ilustracje: Andrzej Fydrych

Łódź 2012



Kacper Płusa - pabianiczaniec o hippisowskich inklinacjach. Lubi przejeżdżać pociągami przez rzeki. Laureat kilkudziesięciu konkursów poetyckich min. TJW podczas festiwalu Złoty Środek Poezji w Kutnie, TJW o Puchar Wina, TJW o Czekan Jacka Bieriezina, OKP im. Rafała Wojaczka. Publikował w Arteriach, Arkadii, Akancie, Szafie, Gazecie Wyborczej.

## Postowie:

### **CIĘCIA I STANY ZAPALNE**

Zachwyt nad debiutanckim tomem młodszego kolegi bywa głębokim ukłonem przed poezją formalnie i językowo obcą, jednak w przypadku wodowania debiutanckiej książki Kacpra Płusy zachwyty nad jego wierszami jest właściwie mocno gorzki, gdyż trudno znaleźć w sobie nieskażone, czyste emocje. Dlaczego? Otóż poezja Kacpra Płusy suto czerpie z marnego czasu, w jakim młodemu poecie przyszło żyć, i z jego rud dobywa on na tyle sporo językowych wrażeń, że treść jego wiersza obfituje w rozległe tonacje negatywnych ujęć nie tylko samego czasu, ale i tego, co w jego trybach się wydarza.

Przeptyw mikroświata w wierszach debiutanta jest niezwykle wartki. Płusa sytuuje się w oku cyklonu, z którego namierza wietrzne i płynne kształty za pośrednictwem zbiegów okoliczności językowych ujęć. Surowe płótno jawy, którym jest wyściełany każdy wiersz z tego tomu, nie dość, że jest odczuwalnie bardzo szorstkie, to jeszcze staje się lotnym tłem dla każdego ruchu czy gestu bohatera tych wierszy – tropiciela sensu w świecie podejrzanym coraz bardziej o jego brak. Upór w wynajdywaniu coraz to nowych ścieżek, stwarzających szanse na odkrycie jakiejś logiki w rzeczywistości narzuconej, niewątpliwie jest godny podziwu. Autor nie stroni od poetyckich przeczutni, mających przenosić go w wymiary gnieźdzące sens, kłując coraz to nowe przestrzenie, w których lęgną się obrazki amorficznych wizji, wyławianych z potoku codziennych zdarzeń, spiętrzeń mowy, przywidzeń i realnych nakłuc. Jesteśmy tedy świadkami dociekań nad naturą raptownego rozpadu. Życie – postrzegane oczami autora – nieustannie lawiruje na cienkiej granicy rzekomych, twardych gruntów, jakie tworzy materialny jego wymiar; granicy, za którą rozpościera się grząska połać zmierzającego w stronę zaniku wymiaru codziennych potknięć, porażek i wahnięć, ulokowanego właśnie – jak sugeruje tytuł tomu – na skraju światła. Skraj staje się tutaj gromką zapowiedzią owego – czyhającego nieustannie – zaniku. Przed wchłonięciem w jego niezgłębialne wiry może jedynie chronić eskalująca samoświadomość językowych ujęć, zaklinających narastający strach czy eksponowaną niepewność:

*obrazy jak wina fermentują w ciemni. przetworzone, skruszone*

*w hologram. nocą rozrastają się na skórze skwerów w domy*

*i latarnie – cięcia i stany zapalne.*

*idę za mną aż do kresu przecznicy zardzewiałym wiaduktem.*

*wyżej nie podskoczysz. chyba że jesteś iskrą wyrzuconą z trakcji.*

*rano choremu miastu słońce stawia na plecach bańki. do szczelin i studzienek*

*wpływa rynsztok gęsty jak rtęć. światło odbija się od szkła.*

*stoję na moście, kręcę w palcach drucik okularów – mój zapalnik.*

*pod stopami jak psy kładą się regularne pasma, modlitwy morsem, żar-live.*

(tren dla żarówek stuwatowych)

Jest to poezja widzeń ukośnych, zerknięć z boku lub spojrzeń w otchłań przyszłości. Imaginacja służy jej bardzo konkretnie – chodzi o wydobycie takich kadrów, na których jest jasno zarysowana sytuacja czy stan, ale nie można w żaden sposób ustalić, jaką ma to postać, jaki dokładny wygląd: (...) *jestem kornikiem/ i chcę się zestarzeć, drżąc w próchnie. gnić z głodu wpatrzony w dno słoja./ mężczyzna, który przy starych kapliczkach próbuje posklejać confetti, to ja.* Nie ma w niej tedy miejsca na puste fragmenty, przerwy, na lekturowy oddech, wiersz Płusy bowiem to komunikat gęsty od semantycznych splotów, epifanii nieunikających sensotwórczych tropień bezsensu, halucynacji okazujących się niezwykle trzeźwym opisem stanu rzeczy. Jesteśmy więc świadkami poetyckiej przeprawy przez knieje

i bagniska na poły rojonych (więc zapalnych), na poły odbieranych racjonalnie (czyli... ciętych) sytuacji czy zdarzeń. Płusa kadruje poszczególne stany tak, żeby móc je sprasować i stopić w jeden – wielce sugestywny – brykiet; by powstała z danego wiersza kość niezgody, która mogłaby stanąć w lekturowym przełyku.

Dzięki temu wszystkiemu, zrodził się bardzo mocny – jeśli chodzi o wydźwięk treści – debiutancki tom wierszy. Jego lektura na pewno zostawia po sobie głębokie ślady zakamarków, światów i zaświatów, szczelin i rozpadlin, jakie wytworzył poetycki język autora, i zostawia nas z przekonaniem, że wieczna konfrontacja z magmą tego i tamtego świata, dzięki tak wielorodnym wierszom, niekoniecznie musi się skończyć zastygnięciem.

## **Maciej Melecki**

### **FRAGMENTY:**

#### **pokój z widokiem na wojnę**

moje kości nocą bawiły się w blitzkrieg. pod powiekami wydłużał się pejzaż  
obły jak łuska. ślepa ulica była lufą, ktoś włożył ją w usta futryn.  
kończyła się czerwonym punktem papierosa, który parzył w przełyk.  
wokół rozbrzmiewał mój kaszel – chroniczny jak seria.

deszcz imitował śrut. próbował przemycać do wewnątrz zimny front,  
kontrast do zamkniętych układów organizmu. naprzeciw okna  
książkom czerwieniał naskórek. ścierał się od śladów zaciśniętych palców  
(które dotykały grzbietu jak cynгла).

#### **tren dla żarówek stuwatowych**

obrazy jak wina fermentują w ciemni. przetworzone, skruszone  
w hologram. nocą rozrastają się na skórze skwerów w domy  
i latarnie – cięcia i stany zapalne.

idą za mną aż do kresu przecznicy zardzewiałym wiaduktem.  
wyżej nie podskoczysz. chyba że jesteś iskrą wyrzuconą z trakcji.

rano choremu miastu słońce stawia na plecach bańki. do szczelin i studzienek  
wpływa rynsztok gęsty jak rtęć. światło odbija się od szkła.  
stoję na moście, kręcę w palcach drucik okularów – mój zapalnik.  
pod stopami jak psy kładą się regularne pasma, modlitwy morsem, żar-live.

#### **pieśń płodowa**

grypsuję od kilku miesięcy. dym przenika przez ściany.  
odliczam smugi po fajkach, prawie całkiem wrosłem w sytuację  
po poprzedniku. ból pulsuje jak ślina, gdy dają śluz zamiast żarcia.

wczoraj próbowałem kopać. przez barierę przenikało ciepło na kształt  
kobiecej ręki. jest tylko jeden kierunek, w dół, w stronę światła.

## **przypowieść o łodzi**

jak zmienić bieg wydarzeń w mieście, które nie posiada rzeki, nie niesie głosu ryb, choć leży u źródła? jest cieczą, która przystosowuje się do kształtu naczynia, a ruch w nim to tylko załamania fal.

gdy jesienią owijam się w płaszcz z lęku przed deszczem, przed nabraniem wody w usta, na odwrocie jak na etykiecie powinienem podać skład, swoją krótką charakterystykę, to, co wyniosłem, poddając się pływom: ulice, które przypominają czaszkę – czarę goryczy, bezwolne opadanie na dno, odruch chwytania za brzytwę.